

Muminki i ja

Moja pamięć ma już swoje lata, do czego oczywiście ma pełne prawo. Jednak dzień, w którym odnalazłem Dolinę Muminków, potrafię przywołać z najdrobniejszymi szczegółami.

Dryfowałem po zdradliwym morzu, wielokrotnie powątpiewając w sukces swojej wyprawy. Ale wraz z nastaniem nowego dnia, moja wytrwałość została należycie nagrodzona. Wschodzące nad horyzont słońce wskazało mi maleńki punkt, a w miarę zbliżania się do niego, odsłaniał coraz więcej szczegółów. Z ulgą stwierdziłem, że upragnione miejsce było na wyciągnięcie dłoni. Niedługo później mogłem postawić stopy na piasku - pierwszy raz od kilku dni. Z serca spadł mi kamień, którego rozmiary wielokrotnie przewyższały wyrastającego obok morskiego kolosa. Od razu rozpoznałem w nim Samotną Wyspę Hatifnatów. Wpisała się w widnokrąg w tak przedziwny sposób, że faktycznie przypominała smutny, usypany od niechcenia masyw. Ktoś, kto nazwał ją akurat tak, musiał mieć bardzo bujną wyobraźnię. Drewnianą jolkę, którą dopłynąłem na miejsce, porzuciłem na plaży. I tak nie była mi już do niczego potrzebna, tym bardziej, że słona woda niemal doszczętnie ją zniszczyła. Pal licha, co się z nią dalej stanie. Moja radość nie mogła trwać zbyt długo – w końcu najgorsze było dopiero przede mną. Pozostało tylko przedrzeć się przez ciemne lasy ze starą, wygniecioną mapą w rękę oraz ciężkim kufrem pozbawionym jednego uchwytu.

Otoczająca mnie natura wydawała się dziwnie znajoma. Z nieopisaną łatwością odnajdywałem to, co wymalowano w czarno-białych książkowych rycinach. Nawet rozpoznanie piętrzących się w oddali Gór Samotnych przyszło mi bez problemu. Nie wspominając o jaskini Ryjka. Zupełnie jakbym spoglądał na otaczający mnie krajobraz oczami osoby, która spędziła tu całe swoje życie. Każdy element znajdował się na swoim miejscu, jak gdyby nikt w przeciągu ostatnich kilkunastu lat nie zakłócał spokoju tej krainy. Mimo to, powietrze zdradzało, że wisiało w nim coś okrutnie niepokojącego.

Wreszcie dotarłem do celu mojej tułaczki. Przystanąłem na drewnianym moście, aby przyjrzeć mu się z bliska - swoją drogą, od dawna nie robią tak porządnych mostów. Dom Muminków stał na środku sielskiej polany jakby nigdy nic. Wyglądał nad wyraz rozkosznie i aż prosiło się, by zajrzeć do środka. Otworzyłem drzwi - nikt nie pofatygował się, by wcześniej je zamknąć. Wewnątrz panowała nienaturalna cisza. Nie wróżyło to niczego dobrego. Kosz z przyborami do szycia Mamy Muminka leżał na środku stołu, a wpadające przez okno promienie słońca przenikały przez kolorowe, szklane główki igieł, malując na blacie przepiękny kalejdoskop. Z kolei kolekcja znaczków Paszczaka wałała się niedbale po całej podłodze. Jej właściciel nie byłby tym zachwycony. Oprócz tego, gdzieś w kącie wylegiwały się porozkładane zabawki, a o ścianę oparto dwie wędki. Każdy najprostszy przedmiot sprawiał wrażenie, że ktoś używał go zaledwie chwilę temu - jakby jego właściciel nagle wyparował.

Dom, który swego czasu pękał w szwach od mieszkańców, stał się kompletnie opustoszały. O tej porze roku Muminki powinny dawno obudzić się ze snu zimowego. Z pewnością nie zjadła ich też Buka - i jej na próżno było szukać. Problem w tym, że każde stworzonko, które niegdyś zajmowało się tutaj swoimi sprawami i miało własny kąć, wyparowało. Dosłownie.

Oficjalnie mawiało się, że winowajczynią była kometa - zupełnie taka, jaka kiedyś zakłóciła spokój mieszkańców Doliny. Tym razem, w wyniku narastającej katastrofy klimatycznej, zawierała ona śmiertcionośne drobnoustroje. Tak przynajmniej utrzymywali pewni mądrzy ludzie - a opisując tę nietuzinkową sytuację, używali jeszcze mądrzejszych słów. Jakoś nie chciało mi się im wierzyć. Głównie dlatego, że moja praca nad odtworzeniem wymarłych gatunków nie wszystkim przypadła do gustu. Odebrano mi narzędzia, a wyniki zniszczono, dlatego od tamtej pory zmuszony byłem działać nielegalnie. Śmiałym twierdzić, że ryzykując życiem. Mimo to, wszelkie starania nie przynosiły jakichkolwiek skutków, a żaden wyprodukowany przeze mnie genotyp nie równał się temu, czym w istocie były Muminki. Niewiele brakowało, by moja frustracja osiągnęła punkt krytyczny, ale przypomniałem sobie o czymś, co mogło uratować te biedne stworzonka. Rozwiązanie przez cały czas czekało podane na tacy w książce.

Rozejrzałem się po pustym domu - szukałem jednego, konkretnego przedmiotu. Powinien być na tyle duży, by natychmiast przykuć mą uwagę. Tak też faktycznie było. Czarodziejski kapelusz czekał na mnie w pokoju Tatusia Muminka. Całe szczęście, że Buka zdecydowała się go zwrócić. Wróciłem do salonu, gdzie pozostawiłem wcześniej kufer. Wyjąłem z niego kilka garści obierek pomarańczy i drżącymi rękoma ułożyłem je delikatnie na dnie cylindra. „To powinno wystarczyć” - pomyślałem i usadowiłem się w fotelu, czekając na dalszy ciąg zdarzeń.

Czuwałem tak przez dobrą chwilę, kiedy nagle usłyszałem głośne pyknięcie. Potem kolejne i jeszcze jedno. Cały pokój wypełnił się jedną wielką strzelaniną pyknięć. Spokojnie można by to porównać do kogoś, kto spacerował po folii bąbelkowej i świetnie się przy tym bawił. Znowu nastała cisza - jakby proces pykania nigdy się nie wydarzył. Albo miał miejsce tylko w mojej głowie. Serce zabiło mi mocniej. Chcąc upewnić się, czy nie był to jedynie efekt wycieńczenia morską podróżą, zjrzałem do kapelusza. Nic z tych rzeczy. Podskoczyłem zaskoczony, bo cylinder wypełniony był maleńkimi, śpiącymi istotkami. Drzemali tam wszyscy - Muminek, Tatuś, Mamusia, każde z nich skulone w kłębek, z podwiniętym do snu ogonkiem. Obok odnalazłem Ryjka, Pannę Migotkę, Migotka, nawet Małą Mi, która stała się jeszcze mniejsza niż zazwyczaj. I oczywiście Paszczaka - zaplątanego w purpurową, przydużą sukienkę. Iście rozczulający widok. Poczułem, jak łzy popłynęły mi po policzkach. Zmarnowałem tyle czasu, a wystarczyło ruszyć łepetyną i poszukać odpowiedzi tutaj, nie w żadnym laboratorium przy probówce.

Wyciągnąłem rękę, by pogłodzić Muminka po wielkiej główce. Była pokryta przyjemnym, aksamitnym w dotyku futerkiem. Niestety, gest czułości

niechący go obudził. Otworzył małe ślepia, na których siedział jeszcze sen. Ziewnął przeraźliwie głośno i spojrzał mi prosto w oczy. Chociaż jego wyraz twarzy nie sugerował żadnych konkretnych emocji, sam postanowił udzielić mi informacji o tym, jak się aktualnie czuł. Muminek zaczął płakać tak głośno, że zbudził pozostałych w kapeluszu. W pomieszczeniu rozległ się chór zrozpaczonych, cienkich głosików. Kompletnie nie wiedziałem, jak zdołałbym ich wszystkich uspokoić. Na nic zdało się śpiewanie, próba ukołysania, nawet zabawa w „a kuku”. Zresztą ta ostatnia jedynie rozzłościła małą Małą Mi. Ugryzła mnie w palec wskazujący, dając mi do zrozumienia, że psoty były ostatnim, na co miała ochotę.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Odnalazłem w kuchennym koszu na odpady kilka skorupki od jajek i wrzuciłem je do kapelusza. To pozornie banalne zadanie nie było wcale takie łatwe, ponieważ mojej nogi uczepliła się gromadka niezadowolonych stworzonek. Na szczęście plan okazał się skuteczny. Z cylindra zaczęły wyłaniać się puchate obłoczki, które błyskawicznie odwróciły uwagę maluchów. Chcąc złapać ich jak najwięcej, zachwycone wyciągały ku nim swoje małe rączki.

- Chciałybyście sobie polatać? - spytałem.

Odpowiedziało mi gromkie, entuzjastyczne „Tak”. Kolejny dowód na to, że najprostsze rozwiązania są tymi najskuteczniejszymi. Po chwili wokół mojej głowy latały białe chmurki z roześmianymi od ucha do ucha stworzonkami. Usiadłem ponownie w fotelu i westchnąłem głęboko. Ogromnie cieszyło mnie odzyskanie Muminków, ale nie spodziewałbym się, że staną się tak małe i nieporadne. Czekają na mnie zatem sporo pracy.

Jak to niekiedy bywa z małymi istotkami, z największą łatwością przychodziło im mówienie. Wypytyując mnie po kilka razy dziennie „A co to?” i „Cóż to takiego znaczy?”, szybko zdołały poszerzyć swoje słownictwo. Ryjkowi na przykład pyszczek nie zamykał się wcale. Natomiast Paszczak zrozumiał istotę narzekania. Niekiedy robiło się to irytujące, ale przynajmniej zdradzało, że rozwijał się prawidłowo.

A gdy znudziło im się trajkotanie, trzeba było wszystkich czymś zająć. Trwające lato sprzyjało zabawom na podwórku, tym bardziej, że owy rok uraczył nas przepiękną pogodą. Pewnego dnia znalazłem w biblioteczkę atlas ze statkami, który od razu przypadł do gustu Mamusi Muminka - zgodnie z moimi oczekiwaniami. Siadaliśmy razem nad brzegiem rzeki i kiedy reszta gromadki beztrudnie pluskała się w migocącej od słońca wodzie, my konstruowaliśmy coraz to nowsze okręty. Szło jej to tak zręcznie, że z czasem nie potrzebowała już ani książki ze wzorami, ani mojej pomocy. Chętnie też obdarowywała pozostałych swoimi małymi dziełami, a ci urządzali sobie regaty. Raz Mała Mi otrzymała łódkę wykonaną z kory, po czym zniknęła na kilka godzin. Sądziliśmy, że się utopiła i wystraszyła nas nie na żarty. Lecz ona przez cały czas obserwowała podwodne życie żab i ani myślała uspokajać przerażone towarzystwo. Zresztą chyba spodobało się jej takie ogólne poruszenie.

Z kolei Tatus Muminka zainteresował się czarodziejskim kapeluszem. Pomimo sceptycznego nastawienia, nauczył się używać go tak, by nikomu nie wyrządzić krzywdy i samego siebie nie przemienić w mrówkolwa. Muminek zaś najwięcej czasu spędzał z Panną Migotką - ku skrywanemu niezadowoleniu jej braciszka. Ten najpewniej był o nią zazdrosny, ale przecież w życiu by się do tego nie przyznał. Dwoje przyjaciół ochoczo zbierało muszelki, niekiedy kulturalnie pozwalając swojemu koledze brać udział w poszukiwaniach.

A ja? Ze zdumieniem obserwowałem, jak Muminki w niezwykle naturalny sposób odnajdują się w tym, czym zajmowały się przed wieloma laty. Ryjek staje się Ryjkiem, Migotek wyrasta na Migotka, a Mała Mi - na Małą Mi. Działo się to oczywiście z drobną pomocą i dostarczonymi sugestiami. Poza tym, z biegiem czasu kapelusz wypełniał się nowymi obierkami pomarańczowymi, przemieniając je później w kolejne istotki. W ten sposób grono mieszkańców Doliny poszerzało się o Filifionki, Bobka, a nawet o Hatifnatów. O tych ostatnich zupełnie nie musiałem się martwić. Spędzili z nami raptem kilka dni, by później ruszyć za pierwszą jesienną burzą, która z pewnością zaopiekowała się nimi dużo lepiej niż ja.

Mimo to, wciąż trapiła mnie jedna i ta sama myśl. Odnosiłem wrażenie, że sama znajomość zwyczajów nie wystarczy, chociaż była niepodważalnie ważna. Przecież to wspomnienia stanowiły to, co niegdyś ukształtowało Muminki. Długo zastanawiałem się, jak mógłbym im je przekazać. Zwykła opowieść nie załatwiłaby sprawy - Mała Mi zanudziłaby się po kilku minutach. Odpowiedź znowu przyszła do mnie niespodziewanie. Gdy pewnego dnia spędzaliśmy czas na świeżym powietrzu, wody pobliskich jezior przyniosły na brzeg dryfujący teatr.

Natychmiast zabrałem się do pracy. Co wieczór, gdy wszyscy wreszcie zasnęli, siadałem przy lampie naftowej i opracowywałem sztukę teatralną o ich wspólnej historii. Zależało mi, by zawrzeć jak najwięcej szczegółów - tak, by każdy mógł jak najlepiej wczuć się w rolę i poznać samego siebie. Po długich miesiącach zmagania sztuka była wreszcie gotowa. Bałem się jednak, że Muminki mogłyby mieć mieszane uczucia. Właściwie kto by nie miał, gdyby do jego dorastającego umysłu napakowano garść wspomnień z czasów, których nie był w stanie sobie przypomnieć. Mimo to, istotki podeszły do prób niezwykle ochoczo, traktując je jak kolejną zabawę. A gdy wszystkie kwestie zostały utrwalone i scenografia nabrała kształtów, przyszedł czas na premierę.

Usadawiłem się na widowni, a na miejscu po mojej prawej stronie ustawiłem gramofon ze starą, podniszczoną tubą. Każdy widz musi czasami zadbać o oprawę muzyczną. Włożyłem do niego analogową płytę i po chwili rozbrzmiała kojąca, melancholijna muzyka. Idealnie pasowała do zachodzącego słońca, którego promienie posłużyły za naturalne efekty specjalne. Tatus Muminka pojawił się na scenie jako pierwszy. Smutnym głosem snuł opowieść o tym, jak niegdyś się zgubił, a Muminek i jego Mamusia szukali go po całym świecie. Podniosłe dialogi zręcznie doprowadziły do momentu odnalezienia ich

domu. Ale rodzinna sielanka nie mogła przecież trwać zbyt długo, gdyż na bohaterów czekały kolejne plagi - wliczając w to powódź, czy też nadlatującą ku Dolinie komętę. W obydwie brawurowo wcieliła się Mała Mi, śmiejąc się złowieszczo. Co prawda nie mogłem zobaczyć prawdziwych nieszczęść, ale uwierzyłbym, że nijak miały się one do kataklizmów w interpretacji tej złośnicy. Kolejne akty dotyczyły bezsennej zimy Muminka, a nawet nieszczęsnej, niewidzialnej dziewczynki, która pragnęła nauczyć się śmiać. Słowem, wspominałem o każdym większym i mniejszym detalu, stanowiącym wspaniałe dopełnienie ich wspólnej opowieści.

Na koniec nagrodziłem aktorów najgłośniejszymi brawami, jakie były w stanie wyprodukować moje dłonie. Artyści stali w milczeniu, ale z uśmiechami na pyszczkach. Czy byli po prostu zadowoleni z przedstawienia? A może wreszcie odnaleźli część siebie, która została im nikczemnie odebrana? Na to już nie potrafiłem odpowiedzieć. Pragnąłem jednak, by uwierzyły, że postacie skrywane za mglistymi zgłoskami scenariusza, były w rzeczywistości nimi samymi. Pozostało mi tylko zaufać, że moja praca została należycie wykonana.

A kim w całej tej historii byłem ja? Cóż, prawdę mówiąc, z Muminkami od zawsze łączyło mnie wiele. Czasami, gdy nie mogę zasnąć, wyciągam z kufra kapelusz, będący jeszcze większym skarbem niż biżuteria ukryta w rzece, czy nawet wielki stos gładkich muszelek. Myślę wtedy, jak prezentował się na czuprynie pewnej osoby, która znała ich wszystkich osobiście. Osoby tak tajemniczej i tak skrytej, że chyba żaden z Muminków nie był do końca pewien, czy poznali chociaż jej małą cząstkę. Wiedziałem natomiast, że on przyglądał się nam z góry i popalał fajkę, z której ulatywały płynące po niebie obłoczki. Od tamtej pory byłem wszystkim znany jako wnuk Włóczykija.

Jakub Urban